





wybrał i na nowo opowiedział

Mariusz Niemycki

ilustrowała

Alicja Rybicka

Wydawnictwo Skrzat
Kraków

© Copyright by Księgarnia Wydawnictwo Skrzat

Stanisław Porębski, Kraków 2019



Opracowanie tekstów baśni: Mariusz Niemycki

Ilustracje: Alicja Rybicka

Projekt okładki i opracowanie graficzne: Zofia Zabrzaska

Redakcja i korekta: Monika Ślizowska

W projekcie okładki wykorzystano grafiki z fotolia.com © ELENA

ISBN serii 978-83-7915-769-3

ISBN 978-83-7915-771-6

Księgarnia Wydawnictwo Skrzat Stanisław Porębski

ul. Prądnicka 77, 31-202 Kraków

tel. (12) 414 28 51

wydawnictwo@skrzat.com.pl

www.skrzat.com.pl

DUCH GÓR

baśń austriacka



Dawno temu w dolinie pośród sięgających nieba Alp kryła się niewielka wioska. W wiosce tej mieszkał pewien skrzypek pocziwej natury. Jako że czasy były ciężkie i o zarobek niełatwo, uwijał się ten skrzypek, jak tylko potrafił. A to do mszy w kościele zagrał, a to w karczmie do tańca porzępolił, wszystkiego jednak brakowało, choć starał się chłopina co sił. Wędrował od domu do domu, przygrywając do chrzcin i pogrzebów, lecz dostatku rodzinie nie potrafił zapewnić. Zmarniał od tej poniewierki, wąsi-ska mu posiwiały, plecy się przygarbiły. Aż pewnego dnia przyszła na niego pora. Rozchorował się i odszedł z tego świata, zostawiwszy ukochaną żonę i synka jedynaka.

Friedel, bo tak malec miał na imię, nie skarżył się na głód i nie narzekał na los. Wesołe usposobienie, talent do muzykowania i skromność miał po rodzicach.

I co najważniejsze, z kołyski ledwie wyrósł, a już piosenki u ojca usłyszane podśpiewywał. A na skrzypkach jak grał, ho, ho! Choć

z początku za wielkie dla Friedla były, czuło się, że zostały dla niego stworzone. Mieszkańcy wioski szybko polubili młodego skrzypka, mówiono nawet, że troski i smutki swym graniem odstrasza.

Cóż z tego, skoro żyło im się coraz biedniej, aż w końcu przyszło nieuniknione. Zmęczona niedostatkiem i codzienną ciężką pracą matka Friedla zachorowała. Od tej pory wszystkie troski spadły na wątłe barki chłopczyka.

A pieniędzy jak nie było, tak nie było. Skołowany Friedel, co mógł, sprzedał, resztę w zastaw oddał, byleby chorej matce nie brakło ciepłej zupy. Nie dziwne więc, że w końcu nic do sprzedania nie zostało, tylko skrzypki ojcowe. Jakże jednak z nimi się rozstać? Za nic w świecie się nie dało! Którejś niedzieli postanowił więc pójść do karczmy, bo tam po mszy zbierało się pół wsi. Ani w głowie mu prosić o jałmużnę, chciał uczciwą pracą zarobić na życie. Skrzypki, jako że wielkie były, na ramię zarzucił, po czym ostrożnie przekroczył próg karczmy.

Ucieszył się karczmarz na widok chłopaka. Goście nie inaczej.

– Hej, Friedlu! Pokaż, co potrafisz! – krzyknął któryś. – Zagraj nam coś!

– Byleby skoczne było! – dodał inny, dla animuszu pokręciwszy wężem.

Friedel westchnął, bo mu się ojciec przypomniał. Potrząsnął jasną czupryną i ułożył sobie skrzypce na ramieniu. Musnął smyczkiem struny, a te mruknęły obiecująco.

Uśmiechnął się chłopiec, pociągnął mocniej i tupnął. Hej, popłynęła wesoła muzyka, rześka niczym górski potok. Goście grą



zauroczeni po udach się klepali, pieniądze do kapelusza wrzucali, prosząc o więcej. Żona karczmarza zaś, łezkę w oku otarłszy, przyniosła kosz pełen chleba, wędzonego mięsa i owczego sera.

– Masz, chłopaku, podjedz sobie do syta, boś chudzina nie-możebny – rzekła, wzdychając.

Chłopiec aż skakał z radości, rad, że tyle zarobił graniem. Karczmarz poklepał go po ramieniu i powiedział:

– Przychodź do nas, mały grajku, w każdy wieczór po targu. Zarobek wtedy większy, bo ludzie bardziej hojni.

Zrozumiał Friedel, że oto los się do niego uśmiechnął. Nie dość, że ocali tatkowe skrzypki, to jeszcze pomoże matuli, niech wraca do zdrowia.

Minęło czasu nie dużo, nie mało, ot, w sam raz. Friedel pieniądze zarabiał, a rodzicielka nabierała sił, aż całkiem wyzdrowiała. Minął rok, drugi, trzeci. Chłopiec grał, odpoczywał i znowu grał. A w skrytości ducha marzył, by pójść w świat.

– Szczęście chciałbym odnaleźć – oświadczył pewnego dnia. – Życie na lepsze odmienić, bo co tak grać i grać. Puśćże mnie, matuś. Inaczej w smutku się pograżę i nic dobrego z tego nie wyjdzie.

Cóż było robić? Spakowała mu matula tobołek i dała kilka srebrnych monet w węzełku.

– To na wędrowkę, synku – westchnęła, bo ciężko jej się zrobiło na sercu, oj, ciężko. – Byś niewygód i głodu w drodze nie zaznał.

Skurczyła się w sobie, zaszlochała, ale Friedel uderzył się w pierś pięścią i obiecał:

– Nie płacz, matuś. Szczęście odnajdę i zaraz wrócę. Grosza, com graniem zarobił, wystarczy ci do mojego powrotu. Tylko uważaj na siebie, byś znów nie wpadła w chorobę.

Wycalaował matkę, skrzypki przywiązał rzemieniem do pleców, wsunął smyczek za pasek i poszedł. A szedł przed siebie, bo innej drogi nie było. Godzina minęła albo dwie, bez zegarka trudno się połapać. Grunt, że doszedł do doliny usianej skałami jak święteczna babka rodzynekami.

Tam przypomniał sobie, że za doliną jest wieś tak bogata, że dech zapiera. Kto wie, może tam szczęście poniewiera się na ulicy, wystarczy tylko podnieść. Przypomniał sobie również, że dolinną dróżką mało kto chodził, większość wybierała krętą ścieżkę przez górskie wertepy.

Powiadali w karczmie, że w dolinie dzieją się takie rzeczy, od których włos na głowie staje dęba, a oczy puchną ze strachu. „Tylko głupiec tędy chodzi” – mówili. „Albo bohater” – dodawali ciszej niektórzy.

– Czy ja jestem głupiec, czy bohater? – Friedel zmarszczył czoło. A potem się uśmiechnął pełen dziecięcej bez troski. – No przecież, że bohater! Że też musiałem się zastanawiać!

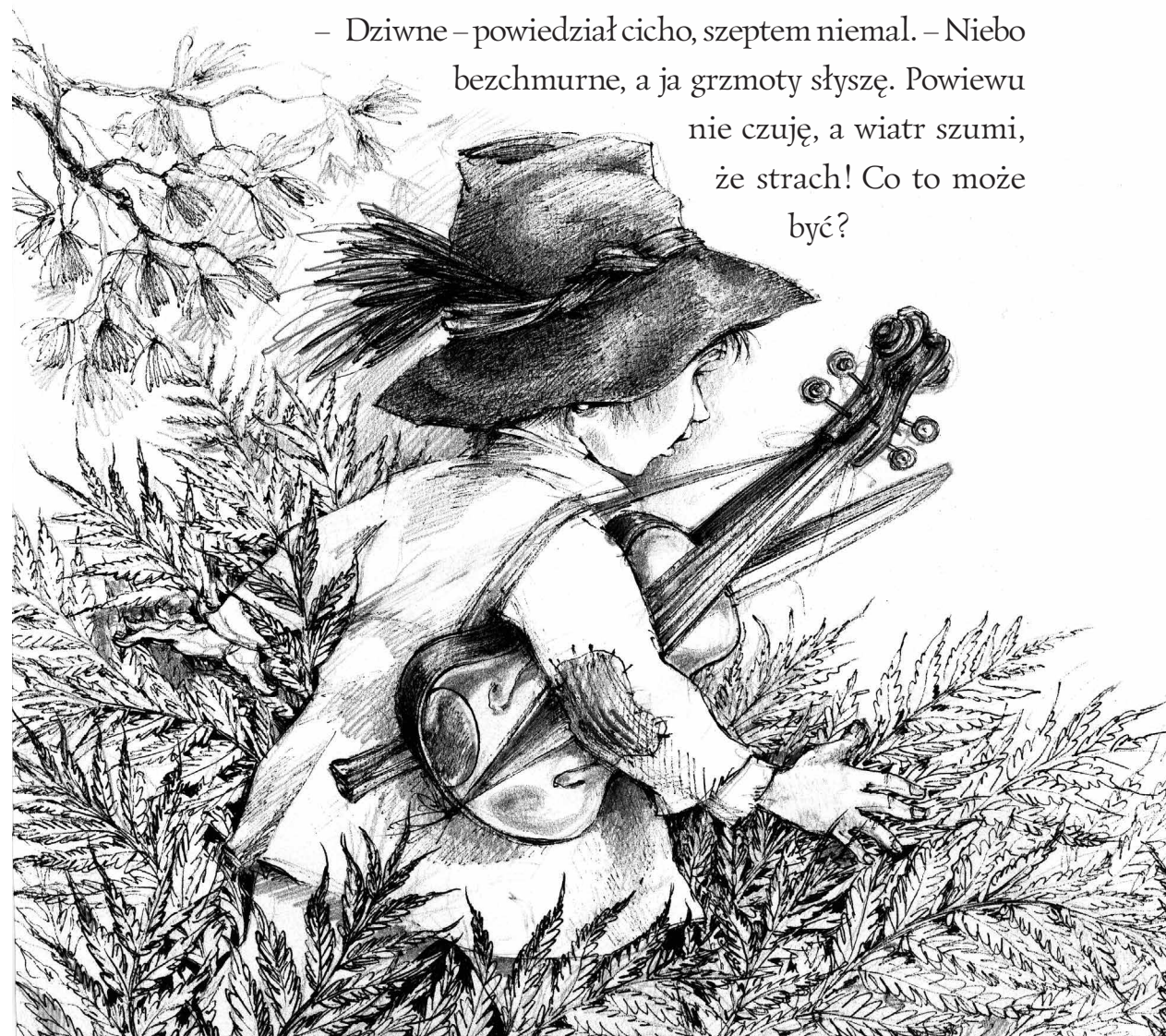
Tak sobie dodawszy animuszu, śmiało postawił stopę na dróżce. Krok za krokiem robił coraz odważniej, coraz szybciej, aż bieć

zaczął, powtarzając w myślach: „Czego się bać? Po co się bać? Pięknie tu, cudownie! Kwiaty, ach, jakie barwne, pachnące! Ptaki, och, jak melodyjnie świergoła, jak dźwięcznie! Powietrze, ech, jakie świeże i czyste!”.

Tak się tymi cudownościami rozochocił, tak się rozradował, że aż mu się zachciało śpiewać i grać. Ale bieć musiał, by przed wieczorem dotrzeć do wsi. Do tej, w której szczęście być może za darmo dają.

Nagle – co to? Zatrzymał się chłopiec, nadstawił ucha i zmrużył powieki.

– Dziwne – powiedział cicho, szeptem niemal. – Niebo bezchmurne, a ja grzmoty słyszę. Powiewu nie czuję, a wiatr szumi, że strach! Co to może być?



Tup, tup, hop, hop, szur, szur! To stąd, to stamtąd, zewsząd i znikąd tysiąc krasnali się zjawiło. A co jeden to cudaczniej ubrany, za to każdy brodaty i z pałką drewnianą, gwoździem nabijaną u boku. Struchlał Friedel, pobladł niebożę, ale co mógł zrobić, prócz gapienia się na przybyłych?

Kiedy już go otoczyły tak szczelnie, że mysz by się między nimi nie przedarła, najstarszy krasnal ukłonił się, omiótł czapkę buty i rzekł grubym głosem:

– Witaj, chłopaku nieboraku! Śmiałkiem być musisz, skoroś do nas przyszedł. To się chwali.

Zarumienił się Friedel, jak każdy człowiek na pochwały łasy. Chciał coś odpowiedzieć, lecz tylko westchnął, bo krasnal prawił dalej z miną wielce ponurą.

– Na co dzień w jaskiniach, pod ziemią się kryjemy. – Tupnął nogą obutą w skórzane kierzce. – Jednak z nastaniem wiosny pan nasz, Duchem Gór nazywany...

– Duch Gór! Duch Gór! Duch Gór! – huknęło tysiąc gardeł.

– Otóż Duch Gór – ciągnął niezrażony krasnal – pozwala nam wiosną wyjść z ciemnicy, do światła dziennego, byśmy podziwiali budzącą się ze snu przyrodę.

– To miło z jego strony... – odezwał się chłopiec.

Krasnal spiorunował go spojrzeniem.

– Nakazał nam też – brodacze pogroził sękatym palcem – że jeśli w dolinie człowieka spotkamy, przed jego oblicze musimy go przyprowadzić.

